

Pogawędka niedzielna

Im — na pocieszenie

Historia jest bardzo piękna i pouczająca nauka. Płyną z niej prawdy przyjemne i prawdy przykre, jak choćby ta, że człowiek bardzo mało się zmienia w ciągu wieków.

Ściany domów w Pompejach zachowały podobnie bezsensowne gryzmoły, jakie dzisiaj wypisują niektórzy na płotach, żeby ośmieszyć swych bliźnich. Płotka oczerniała ludzi od wieków; szachrajstwa istniały w czasach Hammurabiego, różne typki ludzi malutkich, złośliwych, dokuczliwych snuły się zarówno pod niebem Egiptu jak w Grecji i Rzymie. Kształtowanie plebisy się również bujało przed szanowną małżonką Sokratesa jak po niej.

Ciekawe byłoby obliczyć, czy np. procent błagierów i plotkarzy pozostał w ludzkości ten sam, co za czasów nieboszczyka Ramzesa II, czy też zmniejszył się lub zwiększył... Albo zbadać, ilu było procentowo wielkich ludzi do matych interesów w społeczeństwach różnych wieków i różnych narodów? Przypuszczam, że statystyka wykazałaby na przestrzeni całych dziejów jakąś niezmienną stałą liczbę pewnych typków.

Jednemu z nich chciałbym dziś poświęcić kilka słów, ukazując go zarówno w przeszłości jak obecnie.

Typ ten odgrywa w sieci społecznej bardzo doniosłą rolę, chociaż sam przez się jest drobnostką, nie ma znaczącego pyłkiem. Nazwać go można: „gorliwiec”.

Gorliwiec w Rosji Sowieckiej rozczulił się do lez na sani dźwięku nazwiska Stalin — w Niemczech zamiera w bacznościowym bezruchu na wspomnienie Hitlera — we Włoszech wyrzuca ramię do góry, na widok portretu II Duca. U nas... eh, dajmy spokój!

Oczywiście niktby nie miał nic do zarzucenia pocziwemu gorliwcowi, gdyby nie to, że przyjmujący ten facet służy z reguły tym, którzy w danej chwili znajdują się u steru i przechodzą od partii do partii z lekkością porannego zefirka. Zwykle przerażony tem, że moc osób pamięta jego przeszłość i zdumiewa się nad elastycznością jego przekonań, służy nowym panom z gorliwością, w której ogromnie przesadza. W gorliwości tej zatracca nie tylko poczucie godności, lecz komizmu — i tak straszliwie się stara, że mimowoli ośmiesza system.

Zajrzyjmy wgląd dziejów Rosji — tego kraju wszelkich możliwości i niespodzianek — i przekonamy się, co gorliwiec wycyzniał tam przed stu laty.

Około roku 1819 car Aleksander I — uchodzący dotąd, słusznie czy niesłusznie, za liberała — gwałtownie zwrócił ku konserwatyzmowi, stając się jedną z podpór reakcji ogólnie — europejskiej. Na „liberalizujących” gorliwców padł błąd strach. Wszyscy w mgnięciu oka zaczęli zawracać w tę stronę co samodzielnicy i pędzić w prawo na wyprzódki. Cesarz, uwierzywszy, że całe zło na ziemi powstało z ra-

jonalistycznej nauki, pragnął ograniczyć swobodę uniwersytetów i nałożyć cugle uczonej, którzy rzekomo byli zbyt wolnomyślni.

Pragnienie cesarza — to rozkaz dla poddanych, to pole popisu dla gorliwców. Wmógł znalazł się niejaki Mahnicki, który wyprosił sobie u ministra Golicyna misję zreformowania uniwersytetu w Kazaniu. Dostawszy ją, zabral się do dzieła tak, jak przystało na gorliwca. Zjechałszy na miejsce, kazał przedewszystkiem spalić bibliotekę. Dla pewności! On — przedstawiciel ministerstwa oświaty...

— Ot, macie i reformę! — myślał sobie zapewne. — Przysłużył się cesarzowi prawosławnemu, że i order dostać musi koniecznie... Umyślił car, słoneczko nasze, tych przeklętych liberalów od ksiąg niektórych oderwać, a ja wszystkie popalił! Spalił ja je całkowicie i tym sposobem truciźną do dna zabił! Jakże z popiołu czegoś złego nauczą się, co? Ha, ha, ha...

Zatępił rączki z zadowolenia i zaczął czynić zmiany personalne. Poszli na grzyby poważni uczeni, otwarli się awanse. Zgłoszeń zapewne było dużo i to partych odpowiedniami kwalifikacjami, lecz nasz gorliwiec nie zważał na takie drobnostki.

— A mnie poco jakiś wasz dyplom? Charakter — to, przeszłość, pokora, ot i przede wszystkim kwalifikacje!

Może zbiegli się do niego jacyś zasłużeni emeryci w kwiecie wieku? Nie wiem, dość, że profesorem matematyki został niejaki Nikolskij, obskurant przedni, lecz i gorliwiec też pewno nieczorszy.

Równości trójkątów dowodził np. w ten sposób:

„Trójkąt A. B. C. równa się trójkątowi A. B. C., bo z Bożą pomocą wszystko jest możliwe”.

Gdy tak na jednym krańcu rosyjskich obszarów srożył się jeden gorliwiec — w Petersburgu działał drugi. Pociągnął mianowicie do odpowiedzialności kanon profesora filozofii ścisłej Galiszowa za książkę p. t. „Historia systemów filozoficznych”, która rękoma miała szerzyć zgniliznę moralną.

— Tak wy, profeso! — mówił — systemy filozoficzne napisać umyślił, żeby zatruć duszę prawosławna?

— Nic podobnego! Podałem tylko historię filozofii...

— Historię? Nu ładno! A po waszymu Platon, który o republice pisał, prawomysłny — to? A?

— Może, że on i nieprawomysłny, ale cóż ja poradzę? Dzieła on swoje już dawno napisał lat dwa tysiące temu umarł i cóż zrobić takiemu?

— Cóż zrobić, powiadacie? Otóż wam za tę niewiedzę lat piętna-

ście w tuiumie przesiedzieć przyjdzie się.

— Jakże to? Cóż ja winien, że nieboszczyk nabredził nieprawomyślnie?

— A i bardzo! Trzeba wam było w swej książce systemy jego obalić! Dać do zrozumienia, wiecie, nieboszczykowi, że głupstw nakrocił. Zrugać jego krępkiem słowem po naszymu.

— Na myśl nie przyszło.

— Dlatego to właśnie i proces macie i w tuiumie posiedzić. Skończyłem!

W tymże Petersburgu, w biurze cenzury, pocili się czelak nazwiskiem Krasowskij. Z przekładu ballady Waltera Scotta wykreślał wiele wierszy i na wieczną rzecz po gorliwcach pamiętkę poddawał uwagi, dlaczego to czyni. Oto niektóre z nich:

Wiersz: „Niebiański uśmiech ust twoich łowi”.

Uwaga: „Za mocno powiedziane. Kobieta nie jest godna tego, aby jej uśmiech nazywać niebiańskim”.

Wiersz: „I zrozumiałem, czego dusza pragnie!”

Uwaga: „Należy objaśnić czego, bo rzecz dotyczy duszy!”.

Wiersz: „Pragnę lirę do pieśni u stóp twoich stróić”.

Uwaga: „Bardzo to grzesznie siedzieć u stóp kobiety”.

Tak działał gorliwiec w Rosji przed stu laty, a jak dziś tam działają — wiemy coś o tem. Lecz od gorliwców nie są wolne żadne czasy i żadne systemy. Gorliw-

com powodzi się zwykle całkiem nieźle. Przychodzą jednak i na nich ciężkie czasy — doświadczają i oni dusznych rozterek. Wiąże się to zwykle ze zmianą systemu.

Gdy gorliwiec posiada tęgi nos, wywyższa się w sam czas i dostosuje się całkowicie do mających nadejść zmian. Jeżeli organ powonienia nie wyniucha, skąd wiatr zalewa — jego właściciel przeżywa tragedję. Krótko, bo wnet już stoi na przeciwnym krańcu swych przekonań i kręci się, poci, „gorliwi” wśród niedawnych swych przeciwników.

Najgorzej gorliwcom powodzi się, kiedy czasy są niepewne i systemy zmieniają się zbyt szybko. Waha się w prawo, w lewo, cztery kroki drepce wprzód, osiem wtył, przypada na miejsce i nie wie, co z sobą począć.

„Znacie takich gorliwców? Obserwowaliśmy?... Czy nie żal wam ich teraz, w tym właśnie momencie roku 1936-go, kiedy biedacy słyszą, że tam u góry następują jakieś rozgrywki, zmiany personalne, tarcia ideowe?”

Napewno wam żal! A że mnie również westchnięty wiec razem:

— Biedni, nieszczęśliwi gorliwcy!

Im zaś samym powiedzmy na pocieszenie:

— Podobne tragedje, jak wy, przeżywali wasi sobowtórzy duchowi od tysięcy lat... Tak poczuła historja. No lżej wam odrobincę.

Jan Wańsiewski.

Michał Kondracki.

Jeden z nielicznych w polskiej literaturze pianistycznej fortepianowy ten koncert powstał w końcu ubiegłego stulecia i jest dziełem młodzieńcem Melcera.

Sklada się on z trzech części, z których pierwsza, nieco przydługą i rozwlekłą, po wyczerpaniu wszystkich możliwych faz napięcia dynamicznego kończy się fugą w wolnym stylu. Druga część, krótsza, przechodzi niebawem w kujawiaka, który jest najlepiej pomyślanym i zręcznie skonstruowanym finałem, utrzymanym w stylu ludowym. W całości koncert robi wrażenie dodatnie, a największą jego zaletą jest dobra fortepianowa faktura, świadcząca o wyczuciu autora właściwości instrumentu oraz umiejętności ich wyzyskaniu.

II-GI OSTATNI RECITAL ARTURA RUBINSTEINA

Wobec ogromnego sukcesu odbędzie się we wtorek 4 b. m. o godz. 20.15 w sali Konserwatorium połączony nieodwołalnie ostatni recital światowej sławy pianisty Artura Rubinsteina, który po tym ostatnim koncercie opuszcza Polskę i wyjeżdża na szereg występów zagranicę.

W ostatnich czasach otwarto w Warszawie dwa nowe sklepy, sprzedające wyroby z zakresu sztuki ludowej. Jeden z nich mieści się pod arkadami domu Funduszu Kwaterunku Wojskowego, od ulicy Królewskiej i nazywa się „ARW” (artystyczne rękodzieła wsi), drugi znajduje się w Alejach Jerozolimskich, w pobliżu Dworca Głównego i nosi nazwę „Len Wileński”.

W fakcie tym napotykamy niemało godnego uwagi, gdyż sklepy (tak przynajmniej głoszą tytuły tych sklepów) jest w Warszawie bardzo dużo. Wszystkie one jednakże naprawdę nie wspólnego z ludem, ani jego twórczością nie mają. Jest to ludowość spod ciemnej gwiazdy i z dziesiątą ręką. Parodie motywów ludowych, stosowane bez żadnego zrozumienia i przez ludzi artystycznie niepowołanych, na wyrobach lichych gatunku, usiłowały zaspakować potrzebę kulturalniejszej warstwy społeczeństwa, która zapalała szczerą sympatią do sztuki ludowej, nasłuchawszy się wiele o-

jej szlachetnem pięknie od entuzjastów i miłośników tej sztuki — artystów.

Spotykamy nieraz na ulicy także domokrządców z kilimami przewieszonymi przez ramię. Młodzi ci ludzie, przeważnie o typie abisyńskim, trafiają i do naszych mieszkańców, proponując nam kupno tych kilimów, również jakoby ludowych. Mają one tyle z ludem wspólnego, że ich rozprzeczają zajmują się przeważnie lud Izraela. Poza tem trzeba dodać, że fabrykuje te kilimy żydówka spod Kolomyi.

Wspomniane przeze mnie na początku placówki, jedna o charakterze społecznym (ARW), druga — współdzielna, pośredniczą między miastem i wsią w rozprzedaży autentycznych wyrobów ludowych. Wiadomo, że ta wymaga pewnego uzupełnienia. Fakt, że ten, lub ów, przedmiot wykonana i została stuprocentowa wieśniaczka nie przesądza jeszcze o jego wartości artystycznej. Dziwczyni z okolic Podhala z roku na rok wyzrywają sobie coraz brzydsze gorseciki. Stary, piękny wzór, prze-

kazany im przez matki i babki, powoli ulega zapomnieniu; zastępuje go brzydki, fabryczny wzorek, dostarczony usługiwie przez fabrykanta włóczki, lub nici. Tak więc nie wszystko teraz, co robione przez najprawdziwszych chłopów, ma zawsze znamiona prawdziwej ludowej sztuki.

„ARW” zwraca się po towar do tych ośrodków wiejskich, gdzie stare, dobre tradycje sztuki ludu są jeszcze żywe; przy odbiorze zgłaszanych prac dokonywa selekcji. Co się tyczy wzorów, tak już popularnych w Polsce tkanin wileńskich i nowogrodzkich, to weszły one w krew i upodobania ludu tak głęboko, iż nie trzeba się obawiać, by zbyt rychło mogły ulec zagładzie. Zresztą kryzys i bieda (jedyna to korzyść jaką z niej mamy!) wywołały zjawisko nawrotu wsi do rękodzielnictwa i możliwości wyparcia wyrobów ludowego, przez wyrób fabryczny odsunęły na dalszą metę.

Wśród sprzedawanych przez oba sklepy przedmiotów, w jednym lwia część, a w drugim („Len wileński”) wszystko, stanowią tkaniny. W działalności tych placówek widać na dobro i rozwój przemysłu ludowego niepoślednie zajmuje miejsce, poza tem, sprze-

dając te rzeczy w miejsce, na użytek jego mieszkańców, tem samem muszą być przeświadczone o ich użyteczności dla nas. Zastanówmy się, jakie są możliwości artystyczne tej transplantacji sztuki ludu na grunt miejski?

Nie dalej, jak wczoraj rozprawialiśmy o tem w gronie artystów, że dziś źle się robi, malując obrazy bez żadnego właściwie zgóry ustalonego celu. Że dawniej przy pracy nad obrazem odrzucał uwzględniało się jego późniejsze przeznaczenie (gdzie ma wisieć i jakiego rodzaju wnętrzu zdobić?) i stosownie do tych okoliczności malarz kształtował swą kompozycję. Jeśli tego wymaga racjonalnie pojęte malarstwo, to cóż dopiero mówić o przedmiotach codziennego użytku — bo takich właściwie dostarcza nam sztuka ludowa — które razem dopiero, wyrosłe na jednym gruncie, powstałe w atmosferze pewnego środowiska, tworzą harmonijną całość. Sprawa, zdawałoby się, jest z góry przesądzona. Przedmioty, ofiarowane nam przez oba sklepy, chłop wykonał dla siebie, dla wnętrza swojej chaty i w tej chacie właśnie czują się one ze sobą dobrze i tworzą harmonijny zespół, będąc wykwitem pewnych warunków bytowania. W naszym mie-

skim mieszkaniu, wśród zgola innego odczucia będą chyba intruzem, ich użyteczność w naszym, również innem, życiu stanie pod znakiem zapytania?

Na szczęście nasze obawy tylko w nieznacznej mierze okazały się słuszne. Z ludową miską, rozmaitemi garnkami, dzbankami nie będzie miał co robić w swoim mieszkaniu. Przysnając sposobom ich dekorowania wyraźne wartości artystyczne, musimy jednocześnie uznać ich fakturę za zbyt już grubasną i prostotliwą wobec pewnych delikatności miejskiego wnętrza. To samo będzie z krzesłkami. „ARW” wystawił kilka krzesełek kurpiowskich. W swoim kształcie, zwłaszcza w części oparcia, przypominają one niedwuznacznie krzesła Biedermayer (może cieśla kurp widział podobne u jakiegoś „dziedzica” we dworze?). Ale, przy niewątpliwych zaletach konstrukcyjnych, ich obróbka jest znowu zbyt grubasna i nie będzie różniła się od obróbki, na którą używano w izbie chłopskiej, na tle surowych, bielonych ścian, w otoczeniu równie prostych niepoliturowanych sprzętów.

Żupełnie inaczej ma się sprawa z wszelkiego rodzaju wileń-

skimi tkaninami. Ich wzór ma b. stare tradycje, związane nie tylko z izbą chłopską, a prztem jest w swej prostocie tak neutralny i wszechstronny, że odpowiada najrozmaitszym, nawet „bogatym”, wnętrzom. Ich technika wykonania nie ustępuje innym technikom, a kultura tkacka, pod względem artystycznym, przewyższa znacznie wyroby fabryczne. Te wszystkie zalety tkanin ludowej przekonały do niej nawet konserwatywnych z natury antykwariuszy. W antykwariach warszawskich nieraz możemy zobaczyć meble z początku XIX-go wieku, sejonowe, lub brzożowe, kryte tkaniną wileńską.

To samo należy powiedzieć o ludowych haftach i koronkach klockowych i szydełkowych. Mało-serwetki — podstawki z koronek śląskich, lub innych, także serwetki, haftowane na białym tiulu — wszystkie o zachowanym starym wzorze, mają tak szlachetny w ornamencie, tyle wykwintu i precyzji w wykonaniu, że można je kłaść nawet na najbardziej wykwintny mebel zabytkowy. Wobec takiej samej rzeczy, wytworów miasta, serwetka ludowa okaże się wytworną arystokratką.

Wiktor Podolski.

Na ekranach

„OSACZONA”

W KINIE „ŚWIATOWID”

Sensacyjny film z życia gangsterów, wyświetlany w „Światowidzie” jest przykładem jak bardzo przesuwały się wymagania i podstawy oceny estetycznej w stosunku do filmu. To, co dawniej byłoby uważane za zaletę — natłok wydarzeń, zmienność środowisk, sytuacji, ruch — dziś nie może już wystarczyć widzowi i reprezentuje tylko surowy materiał filmowy. Mimo, że akcja jest żywa i kontrastowa film wydaje się raczej nudzący. Wpływa na to powierzchowne przedstawienie faktów: są one podawane wyłącznie od strony wzrokowej, fotografowane, rzucane nam przed oczy i przesuwane jak w kalejdoskopie, natomiast nie wydobywa się z nich istotnej treści. Okazuje się, że w filmie stosowanie opowiadania realizmu jest już równie naiwne, jak w powieści.

Ciągłym akompaniamentem w „Osaczonej” jest grzechot mechanicznych, szybkostrzelnych rewolwerów policyjnych. Policja ściga gangstera, prześladowanego swą miłością dziewczynę, która niegdyś pracowała w przyrodnej oberży, zakochała się w nim, nie wiedząc kim jest ten człowiek i przypadkowo zamieszana w jego sprawę, dostała się do więzienia. Z więzienia ucieka i odtąd żyje, jak istota „Osaczona”. Policja trzyma ją w ręku, ale nie aresztuje, jest ona doskonałą przynętą dla gangstera. Na tem tle rozwija się walka „stróżów porządku” ze „światem podziemnym”.

Te dwa tradycyjne określenia zostały użyte w recenzji rozmyślnie — bo właśnie tak samo szablony jest obraz obu tych światów i ich walki. „Osaczona” ma wszelkie ujemne cechy seryjnej produkcji. W kolowrot maszyn fabrykujących sensacyjność wciągnięto Silię Sidney, aktorkę subtelną, którą obdarzono udręką tytułowej roli. Reżyserował William K. Howard.

Z. B.

„ZAPOMNIANY CZŁOWIEK”

W KINIE „ATLANTIC”

„Zapomniany człowiek” z Wallace'em Beery i Jackie'iem Cooperem jest pewnym wzorem filmu sensacyjnego w dobrym znaczeniu tego określenia. Wartości filmu tkwią już w samym temacie: cyrk wędrowny, pogromca zwierząt, konflikt ojca i syna, walka pogromcy z uczuciem strachu, które musi przezwyciężyć, ażeby pokonać bestję, przeprowadzić swój popisowy numer i w ten sposób zdobyć środki pozwalające mu zatrzymać przy sobie ukochanego syna — dziecko porzuconej żony.

Cyrk dla filmowi obrazy charakterystyczne, pełne ruchu i napięcia,

Z. B.

Fabryka fajansu w Chodzieży

zostanie uruchomiona

CHODZIEŻ, 1. 2. (Tel. wł.) — Na ostatnim swem posiedzeniu Rada miejska uchwaliła zaciągnąć pożyczkę w wysokości 50 tysięcy zł. dla spółki dzierżawnej fabryki fajansu w Chodzieży. Wczoraj wyjechała do Poznania

„ŚWIAT”

Ostatni numer tyg. „Świat” przynosi artykuł L. Chrzanowskiego, w którym autor omawia działalność zmarłego króla angielskiego jako monarchy-demokraty.

Prócz tego „Świat” zawiera ciekawy artykuł W. Gombrowicza omawiający twórczość Zofii Nałkowskiej, Z. Norblin. Chrzanowski omawia ostatnie wystawy w Zachęcie H. Bujakowskiego w barwnym reportażu opowiada dzieje wyprawy motocyklowej do Szanghaju. Dalej „Świat” zawiera artykuł o roli lotników — pilotów, oblatujących nowe aparaty, korespondencję z Paragwaju światu filmu, teatru, liczne ilustracje ze zjazdu gwiazdowego do Monte Carlo.

główna rola nie była tylko punktem zaczepienia akcji, ale próbowała stworzyć charakter. Te dwie możli-



wości dobrze wykorzystał reż. Bolesławski i aktor — Wallace Beery. Wallace Beery znowu błysnął — dał wyrazistą sylwetkę, formował swą grą odrębną, charakterystyczną postać.

Słabszy był jego partner, Jackie Cooper, jako syn Bohatera „Czempiona” zrobił się już puciołatym chłopcem, mającym jeszcze sporo dawnego wdzięku, ale miejsce dziecięcej bezpośledności zajęło kilka szablonych „gierek” i wykrzywił przed obiektywem.

Poza tem wszystkim ten dobrze skomponowany i naogół dobrze wykonany film jest melodją zagraną na starej pozytywce, jaką wymyślił jeszcze Jannings (filmy oparte na motywach ojca, który zerwał z rodziną i którego znać nie chcą własne dzieci). Sentiment filmu jest dość szablony, nie przeszkadza to jednak, że finałowa scena: niebezpieczny popis na arenie, przezwyciężenie własnej słabości — lęku i odzyskanie miłości syna, zagraną popisowo przez Wallace'a Beery — zasługuje na brawa i jest czerstwym napięciem zainwestowania, rosnącego przez cały czas filmu.

Film ciekawy, ale nadprogramy nie ciekawe.

Z. B.

Z. B.

Z plastyki

Wieś w mieście

W ostatnich czasach otwarto w Warszawie dwa nowe sklepy, sprzedające wyroby z zakresu sztuki ludowej. Jeden z nich mieści się pod arkadami domu Funduszu Kwaterunku Wojskowego, od ulicy Królewskiej i nazywa się „ARW” (artystyczne rękodzieła wsi), drugi znajduje się w Alejach Jerozolimskich, w pobliżu Dworca Głównego i nosi nazwę „Len Wileński”.

W fakcie tym napotykamy niemało godnego uwagi, gdyż sklepy (tak przynajmniej głoszą tytuły tych sklepów) jest w Warszawie bardzo dużo. Wszystkie one jednakże naprawdę nie wspólnego z ludem, ani jego twórczością nie mają. Jest to ludowość spod ciemnej gwiazdy i z dziesiątą ręką. Parodie motywów ludowych, stosowane bez żadnego zrozumienia i przez ludzi artystycznie niepowołanych, na wyrobach lichych gatunku, usiłowały zaspakować potrzebę kulturalniejszej warstwy społeczeństwa, która zapalała szczerą sympatią do sztuki ludowej, nasłuchawszy się wiele o-

jej szlachetnem pięknie od entuzjastów i miłośników tej sztuki — artystów.

Spotykamy nieraz na ulicy także domokrządców z kilimami przewieszonymi przez ramię. Młodzi ci ludzie, przeważnie o typie abisyńskim, trafiają i do naszych mieszkańców, proponując nam kupno tych kilimów, również jakoby ludowych. Mają one tyle z ludem wspólnego, że ich rozprzeczają zajmują się przeważnie lud Izraela. Poza tem trzeba dodać, że fabrykuje te kilimy żydówka spod Kolomyi.

Wspomniane przeze mnie na początku placówki, jedna o charakterze społecznym (ARW), druga — współdzielna, pośredniczą między miastem i wsią w rozprzedaży autentycznych wyrobów ludowych. Wiadomo, że ta wymaga pewnego uzupełnienia. Fakt, że ten, lub ów, przedmiot wykonana i została stuprocentowa wieśniaczka nie przesądza jeszcze o jego wartości artystycznej. Dziwczyni z okolic Podhala z roku na rok wyzrywają sobie coraz brzydsze gorseciki. Stary, piękny wzór, prze-

kazany im przez matki i babki, powoli ulega zapomnieniu; zastępuje go brzydki, fabryczny wzorek, dostarczony usługiwie przez fabrykanta włóczki, lub nici. Tak więc nie wszystko teraz, co robione przez najprawdziwszych chłopów, ma zawsze znamiona prawdziwej ludowej sztuki.

„ARW” zwraca się po towar do tych ośrodków wiejskich, gdzie stare, dobre tradycje sztuki ludu są jeszcze żywe; przy odbiorze zgłaszanych prac dokonywa selekcji. Co się tyczy wzorów, tak już popularnych w Polsce tkanin wileńskich i nowogrodzkich, to weszły one w krew i upodobania ludu tak głęboko, iż nie trzeba się obawiać, by zbyt rychło mogły ulec zagładzie. Zresztą kryzys i bieda (jedyna to korzyść jaką z niej mamy!) wywołały zjawisko nawrotu wsi do rękodzielnictwa i możliwości wyparcia wyrobów ludowego, przez wyrób fabryczny odsunęły na dalszą metę.

Wśród sprzedawanych przez oba sklepy przedmiotów, w jednym lwia część, a w drugim („Len wileński”) wszystko, stanowią tkaniny. W działalności tych placówek widać na dobro i rozwój przemysłu ludowego niepoślednie zajmuje miejsce, poza tem, sprze-

dając te rzeczy w miejsce, na użytek jego mieszkańców, tem samem muszą być przeświadczone o ich użyteczności dla nas. Zastanówmy się, jakie są możliwości artystyczne tej transplantacji sztuki ludu na grunt miejski?

Nie dalej, jak wczoraj rozprawialiśmy o tem w gronie arty-

stów, że dziś źle się robi, malując obrazy bez żadnego właściwie zgóry ustalonego celu. Że dawniej przy pracy nad obrazem odrzucał uwzględniało się jego późniejsze przeznaczenie (gdzie ma wisieć i jakiego rodzaju wnętrzu zdobić?) i stosownie do tych okoliczności malarz kształtował swą kompozycję. Jeśli tego wymaga racjonalnie pojęte malarstwo, to cóż dopiero mówić o przedmiotach codziennego użytku — bo takich właściwie dostarcza nam sztuka ludowa — które razem dopiero, wyrosłe na jednym gruncie, powstałe w atmosferze pewnego środowiska, tworzą harmonijną całość. Sprawa, zdawałoby się, jest z góry przesądzona. Przedmioty, ofiarowane nam przez oba sklepy, chłop wykonał dla siebie, dla wnętrza swojej chaty i w tej chacie właśnie czują się one ze sobą dobrze i tworzą harmonijny zespół, będąc wykwitem pewnych warunków bytowania. W naszym mie-

skim mieszkaniu, wśród zgola innego odczucia będą chyba intruzem, ich użyteczność w naszym, również innem, życiu stanie pod znakiem zapytania?

Na szczęście nasze obawy tylko w nieznacznej mierze okazały się słuszne. Z ludową miską, rozmaitemi garnkami, dzbankami nie będzie miał co robić w swoim mieszkaniu. Przysnając sposobom ich dekorowania wyraźne wartości artystyczne, musimy jednocześnie uznać ich fakturę za zbyt już grubasną i prostotliwą wobec pewnych delikatności miejskiego wnętrza. To samo będzie z krzesłkami. „ARW” wystawił kilka krzesełek kurpiowskich. W swoim kształcie, zwłaszcza w części oparcia, przypominają one niedwuznacznie krzesła Biedermayer (może cieśla kurp widział podobne u jakiegoś „dziedzica” we dworze?). Ale, przy niewątpliwych zaletach konstrukcyjnych, ich obróbka jest znowu zbyt grubasna i nie będzie różniła się od obróbki, na którą używano w izbie chłopskiej, na tle surowych, bielonych ścian, w otoczeniu równie prostych niepoliturowanych sprzętów.

Żupełnie inaczej ma się sprawa z wszelkiego rodzaju wileń-